

# Niedźwiedzia przysługa modernistów

*Adam Witczak*

**D**ość już wylano atramentu na opisanie zepsucia tych, którym przydaje się od więcej niż stulecia miano modernistów (katolickich). Przypisywano im – począwszy od Blondela, Tyrrella i Loisy’ego, a skończywszy na całej niemal hierarchii Kościoła posoborowego<sup>1</sup> – najgorsze intencje, ignorancję filozoficzną, nieobyczajne prowadzenie się i świadome współuczestnictwo w rozmaitych spiskach: masońskich, komunistycznych tudzież, tak to nazwijmy, hebrajskich. Zresztą, nieraz wszystkie sprowadzano do tych ostatnich, w ramach redukcjonizmu tyleż wygodnego, co niejednokrotnie zwodniczego.

A jednak niepodobna sądzić, że wszyscy ci autorzy i propagatorzy, włącznie z podstarzałymi już koryfeuszami współczesnego modernizmu polskiego, rodem z „Tygodnika Powszechnego”, „Więzi”, „Przeglądu Powszechnego” i „Znaku” – to ludzie złej woli. Nieraz można odnieść wrażenie wręcz przeciwne. Wystarczy poczytać rozmaite ich smutne refleksje, zwłaszcza te, w których zdają się dostrzegać, iż współczesny świat – mimo wszystkiego dobrego, co chcieliby powiedzieć o jego liberalnych, demokratycznych i naukowych osiągnięciach – rozmija się z tym, czego ostatecznie przecież pragnęli bronić pół wieku temu, u świtu zmian posoborowych. Bo przecież miało być inaczej: bo otwarcie Kościoła na świat miało skutkować wzrostem wiary prawdziwie świadomej, dobrowolnej, głębokiej i naturalnej. Przynajmniej niektórzy z naszych zagubionych starców liczyli na to, że to, co dawniej forsowano pod przymusem, pod grozą kar kanonicznych lub po prostu piekielnych, teraz zostanie przyjęte samo z siebie, jako odpowiadające ludzkim potrzebom i emocjom. Okazało się, że jest inaczej: z otwartych kościołów ludzie zwyczajnie wyszli, zresztą prowadzeni przez swych pasterzy. Odpowiedzią naszych

<sup>1</sup> Pisząc w dalszym ciągu o „Kościele współczesnym”, „Kościele teraz” etc., będziemy mieli na myśli właśnie tę wspólnotę religijną. Autor tekstu nie jest sedewakantystą; zaś sedewakantystyczni czytelnicy mogą traktować tego rodzaju określenia jako skróty myślowe.

modernistów jest na ogół... pytanie. Ileż to razy czytaliśmy, że co prawda nic nie jest jeszcze przesądzone, ale w każdym razie trzeba *zadać sobie pytanie*, trzeba *zacząć rozmawiać*, należy *stworzyć przestrzeń dialogu*. O potencjalnych wnioskach z tego dialogu mówi się rzadziej: choć są oczywiście i ci, którzy przed żadnymi konkluzjami się nie cofną, włącznie z konkluzją ostateczną, iż sztandar Kościoła „rozkazuje się wyprowadzić”.

Ale nie o kondycji psychicznej nobliwych starców i ich młodszych kolegów, zaprawionych w dialogu, zadumie i zadziwieniu światem, chcemy tu mówić. Wystarczy nam konstatacja, że niektórzy z nich mieli i pewnie nadal mają – *dobre intencje*. W sensie bardzo subiektywnym, własnym, ale jednak. To ostatecznie coś zupełnie innego niż świadoma infiltracja prowadzona przez sowieckie służby czy wypustki tajemnych stowarzyszeń.

Istotnie: moderniści przełomu XIX i XX stulecia *chcieli dobrze*. Jakże to paradoksalne! A jednak taki obraz wyłania się nawet i z licznych polemik, jakie prowadzili z nimi ówcześni papieże, biskupi, kaznodzieje, świeccy dziennikarze i pisarze wreszcie.

Moderniści myśleli, że są sprytni. I nie, nie w tym sensie, iż ukryją się w Kościele i przejmą go od środka: to zupełnie inne zagadnienie, którym nie będziemy się tu zajmować (napisano o tym sporo i ciągle się pisze). Otóż chodziło o co innego. Modernista w dobrej (!) wierze sądził, iż „ogra” nie tyle tradycyjny Kościół, ile współczesny (nowoczesny) świat.

Oto bowiem nowoczesny świat przyszedł do modernisty pod koniec XIX stulecia – w osobie nowoczesnego człowieka – i powiedział mu tak:

*Bon soir*, szanowny panie katoliku! A zatem: podsumujmy oczywiste fakty. Zdajesz sobie pan chyba sprawę z tego, że zostałeś dokumentnie pokonany na wszystkich tych polach, na których byłeś najbardziej pewny siebie, mało tego: najbardziej napastliwy i zjadliwy? Że twoja apologetyka rozsypała się jak domek z kart, jak spróchniała trumna zapomnianego klechy? Zacznijmy od całej tej scholastyki, która była twoją dumą. Dowody na istnienie Boga, ta tak zwana metafizyka, „byty przygodne”, „byty konieczne”, Pierwszy Poruszyciel, argument z ruchu

i cała reszta tej nadętej pojęciowości. Otóż to rozbroiliśmy w ciągu kilku wieków przy pomocy nowożytnej filozofii: narzędziami były nam nominalizm, sceptycyzm, racjonalizm, empiryzm, solipsyzm, irracjonalizm, witalizm, wreszcie scjentyzm i pozytywizm. Hume, Kant, Fichte, Hegel, Marks, kogo wolisz. Prawda, że to nieraz kierunki skłócone ze sobą, skonfliktowane wzajem, ale wszystkie łączyło to, że podważyły, obaliły i unieważniły wszystkie te twoje stare, nudne dywagacje. Zresztą, okazało się to prostsze, niż mogłoby się wydawać: aż dziw, że nikt wcześniej nie poprowadził z dostateczną konsekwencją tego naturalnego, dziecięco oczywistego łańcucha pytań: skąd wiemy? dlaczego? i co z tego? Nic się nie ostoja w obliczu sceptyka, tym bardziej nie ostała się racjonalna apologetyka twojej filozofii. Ale były jeszcze i inne argumenty: obrona samej już religii chrześcijańskiej, bezmięsnych piątków, władzy papieża, cudów Mojżesza, cudów Jezui, cudów świętych Pańskich, wiarygodności Ewangelii i Księgi Rodzaju. Te wszystkie zaklęcia pokonaliśmy przy pomocy językoznawstwa, archeologii, krytyki źródeł, nowoczesnej biblistyki, teorii ewolucji, teorii Marksa, psychologii Freuda i zdystansowanego, naukowego spojrzenia na dzieje kultur ludzkich. Nic się nie ostało: wszystko okazało się produktem uwarunkowań społecznych i gospodarczych, wyrazem podskórnych ludzkich pragnień przeradzających się w urojenia czy wreszcie – nagromadzeniem pomyłek pisarskich i nieporozumień. Wasz gmach jest w gruzach, tu masz pan odpowiednie kwity do podpisania i proszę pomyśleć o jakimś uczciwym zajęciu.

Modernista wysłuchał tej tyrady, podrapał się po głowie, zamyslił, a następnie dokonał szybkiego przeglądu dzieł współczesnej filozofii i nauki – i przeżył szok. Brakowało mu zarówno wiary, jak i wiedzy (tj. dobrej strategii obrony), zatem wszystkie jego linie umocnień zostały rychło przełamane. Pokiwał głową, westchnął i zaczął już pakować walizki, gdy nagle naszło go olśnienie. Czym prędzej zaczął przy blasku świecy zapełniać kartki papieru swoją wielką odpowiedzią. Obmyślił bowiem iście makiaweliczny

plan: ucieknie przed współczesnym światem, ale nie do zmurzałej, przegranej przeszłości, jak papież, lecz raczej do przodu. Pokona współczesnego człowieka jego własną bronią:

Mówicie, że wiara religijna nie ostoja się w konfrontacji z nowoczesną nauką i dostatecznie dociekliwą, sceptyczną filozofią? Mówicie, że prawd wiary nie sposób dowieść, że są one czymś wyobrażonym i subiektywnym? Że próżne są nasze nadzieje tak na przeprowadzenie solidnych, metafizycznych dowodów na istnienie i określone przymioty Boga, jak i na dowiedzenie historyczności przekazu biblijnego czy autentyczności cudów...? Ależ, na Boga, w którego wiara jest czymś, co jedni zawsze będą podzielać, a inni nie – macie zupełną rację! Ha, ale w ten właśnie sposób nie tylko nie wytrącać nam broni z ręki, lecz jeszcze nas umacniacie. Przyznajemy: tak dokładnie jest. Tym właśnie jest wiara. Subiektywnym przeżyciem, zjawiskiem nieprzekazywalnym, indywidualnym, uczuciowym rozpoznaniem istnienia czegoś, co pragniemy nazywać Bogiem, dla braku lepszego określenia. Ta wiara się rozwija, ewoluuje, zarówno na planie społecznym, jak i w umysłach – lub raczej: sercach – jednostek. Nie da się jej słuszności dowieść ani obalić poprzez prostą scholastykę czy metodologię naukową. Ma swoje miejsce, jest częścią naszej psychologii. Dogmaty to jedynie jej zewnętrzny wyraz. Mogą się zmieniać. Wszystko, co z tą wiarą związane, może się zmieniać. Tego nam nie zabierzecie, od tej strony nas nie zaskoczycie!

Prawdziwy triumf! Na pozór, bo dziś już wiemy, że to raczej niedorzeczny akt kapitulacji, strzał samobójczy, gag rodem z tragikomedii. Pierwsze uzasadnienie takiego sformułowania jest banalnie proste: ta metoda najzwyczajniej w świecie nie zadziałała, i to pomimo notorycznego zwiększania jej dawki, zwłaszcza w ostatnim półwieczu. Truizmem byłoby tu pisanie o pustych kościołach, ruinie doktryny, zagubieniu wiernych etc.

Ale przejdźmy dalej. Drugi problem z takim postawieniem sprawy dotyczy roli Kościoła w społeczeństwie i państwie. Otóż

jeśli wiara jest czymś subiektywnym, emocjonalnym, indywidualnym, to z natury rzeczy jest też czymś nieprzekazywalnym. Tym bardziej zaś niemożliwe (a co najmniej niemoralne) stają się wszelkie próby uchwycenia jej w określonej formie i narzucenia tej formy, czy też wniosków z niej płynących, całemu społeczeństwu: pod postacią porządku politycznego czy hegemonii kulturowej. I rzeczywiście, Kościół współczesny tego żądania właściwie całkowicie się zrzekł.

A przecież owa osławiona *nietolerancja* Kościoła dla inności, w szczególności zaś dla wynalazków liberalizmu, oświecenia i socjalizmu, wynikała z niezmaconego przeświadczenia, iż nauczanie Kościoła jest *en général* czymś jak najbardziej zrozumiałym, uzasadnionym i przekazywalnym. W istocie dowodzeniu tego poglądu poświęcona była lwia część wysiłku apologetów, myślicieli i kaznodziejów wielu wieków. Zajmowali się tym nawet w tych (wbrew pozorom nie tak znów częstych) okresach i miejscach, w których pozycja Kościoła była na tyle silna, iż mogliby sobie to zadanie odpuścić. A jednak je podejmowali, vide – niekończące się średniowieczne dywagacje na temat rozumowych dróg do Boga czy analizy tekstu Pisma Świętego, niwelujące rozmaite domniemane sprzeczności i nieprawdopodobieństwa.

Kościół, jak to już kiedyś pisaliśmy, stanął odważnie w podwójnych szrankach. Pierwsze pole bitwy to filozofia i co za tym idzie – obszar teologii naturalnej. Drugie to historyczna prawdziwość wydarzeń biblijnych i wiarygodność Objawienia, umiejscowionego nie gdzie indziej, jak właśnie w czasie historycznym. To w pewnej mierze odróżnia chrześcijaństwo, a przynajmniej chrześcijaństwo zachodnie, katolickie, od większości innych religii (muzułmanie i hinduiści mogliby tu zaprotestować, ale zauważmy na przykład, że w hinduizmie prawie żadnego znaczenia nie ma apologetyka historyczna: rzeczywistość Wed i Gity jest *par excellence* mityczna).

Cała wiarygodność chrześcijaństwa opierała się dokładnie na tych dwóch filarach: i w dodatku takie ograniczenie postavili sobie sami chrześcijanie, tj. scholastyczni myśliciele. Oczywiście ktoś może teraz zapytać: a jaka w takim razie jest rola wiary? Toż przecież wiara to łaska, to mimo wszystko nie to samo, co bierne poznanie „encyklopedycznych” prawd, to raczej przyłgnięcie do nich, coś, co splata rozum, wolę i uczucie. Gdzie w takim razie



<sup>2</sup> W ostatnich czasach w Polsce próbę rekonstrukcji takich podstawowych rozumowań podjął Jacek Wojtysiak w książkach *Spór o istnienie Boga. Analityczno-intuicyjny argument na rzecz teizmu* (W Drodze, 2012) i *Dlaczego istnieje raczej coś niż nic?* (Tow. Naukowe KUL, 2008). Pierwsza z nich (a chronologicznie druga) reklamowana jest następującym opisem, który warto przytoczyć: „Dobra teologia naturalna jest niezbędna w każdej poważnej refleksji nad wiarą. Chroni ją przed dowolnością, zabobonem i werbalizmem, dostarcza wyostrzonych narzędzi myślenia. Uprawianie teologii naturalnej pokazuje wszak, że nie jest dobrym zwyczajem przenoszenie namysłu nad Bogiem w pozaracjonalną przestrzeń, do której dostęp jest albo zupełnie niemożliwy, albo możliwy tylko pod warunkiem zgody na istnienie nadprzyrodzonego objawienia”.

miejsce dla niej? A z drugiej strony: cóż powiedzieć tym, którzy, niczym w sztuce Gombrowicza, poznają owe „encyklopedyczne” tezy katolickie, po czym wydymają wargi i upierają się, że to wszystko ich „nie zachwyca”?

Profesor Jacek Bartyzel ukuł kiedyś pewną metaforę dotyczącą legitymizmu dynastycznego w obrębie filozofii politycznej. Tenże legitymizm pełni rolę „korka w butelce wina”, jest jakby znakiem jakości, a zarazem przypieczętowaniem pewnego procesu czy zjawiska. Wino rozlano do butelek, jest gotowe, nie będzie już zmieniane (może co najwyżej „rozwijać się” i pogłębiać swój bukiet, niczym kościelne Magisterium) – korek to widomy dowód tego.

Wiara jest, jeśli możemy sobie pozwolić na tego rodzaju porównanie, czymś podobnym. Można zresztą prześledzić typowe dla tradycyjnego katolicyzmu pojmowanie procesu dochodzenia do tejże wiary. Oczywiście to pewien model teoretyczny. W praktyce wyznawanie wiary wygląda bardzo różnie. Zazwyczaj stanowi przejście pewnej schedy po przodkach; kiedy indziej zaczyna się od konwersji, a ta często jest efektem gwałtownej iluminacji, angażującej emocje, zwieńczonej łzami i przysłowiowym rozdieraniem szat. Nie tak znów wielu ludzi dochodzi do wiary poprzez systematyczne studia, sfinalizowane konstatacją: *quod erat demonstrandum*. Niemniej jednak ten teoretyczny model pozostaje pewnym wzorcem. Co więcej, wskazane jest, by dostatecznie doświadczony wierzący był w stanie wyobrazić sobie realizację tegoż modelu na sobie; by potrafił zaktualizować i uzasadnić ów proces oraz właściwe wybory w jego trakcie.

Zaczyna się więc od podstawowej refleksji nad światem<sup>2</sup>: od zauważenia, że wszystkie znane nam byty mają swój początek i koniec, że wszystko ma swoją przyczynę; że społeczeństwa ludzkie są do siebie na ogół dość podobne i zapewne skądś się to bierze; że rozum i serce podpowiadają nam pewne etyczne intuicje; że nasze jestestwo się zmienia – na planie psychiki i ciała. Nie tak znów wiele danych potrzeba do tych dywagacji: może je prowadzić nawet jogin siedzący gołym zadkiem na kamieniu gdzieś w głębi lasu.

Za tymi podstawowymi obserwacjami idą pytania: o to, co znaczy *istnieć*, skąd wzięło się *istnienie* czegokolwiek i co było przed powstaniem *czegokolwiek*; kim lub czym jest *Bóg*; czy może

istnieć wielu bogów; czy *Bóg* istnieje w czasie, czy poza nim, czy jest samoświadomy, czy jest wszechwiedzący, czy może się zmieniać. I tak dalej, i tak dalej. Odpowiedzi na te pytania budują gmach metafizyki. Zakłada się przy tym, że nie jesteśmy programowymi sceptykami: ufamy zdrowemu rozsądkowi, posługujemy się racjonalną argumentacją (której nie należy mylić z płytkim „racjonalizmem” scjentyzmu), oceniamy prawdopodobieństwo kolejnych stwierdzeń, a nawet – choć nie zawsze i nie bezkrytycznie – polegamy na *mądrości powszechnej* czy opinii budzących szacunek autorytetów. Jakkolwiek by nie było, wnosimy mozolnie ów gmach, a przynajmniej jego szkielet czy bazową postać.

Tu istotne jest odnotowanie, iż proces ten nie może przebiegać dowolnie. Innymi słowy, niektóre wnioski nie są „uprawnionymi poglądami”, lecz po prostu błędami. Ananda Coomaraswamy<sup>3</sup> napisał w jednym ze swoich esejów: „Jeśli się na przykład powie: «Jestem panteistą», to w ten sposób mówi się po prostu: «Nie jestem metafizykiem». To tak samo, jak gdyby się powiedziało: «Dwa plus dwa równa się pięć», co byłoby tożsame z wyznaniem: «Nie jestem matematykiem»”<sup>4</sup>.

Raz jeszcze podkreślmy: fakt, że ktoś nie czuje się przekonany i trzyma się owych błędów, niczego nie przesądza. Żaden system nie jest w pełni odporny na sceptycyzm i zawsze można sięgnąć po narzędzie, które unieważni dowolne rozumowanie (można przecież zanegować logikę, język czy choćby samo istnienie adwersarza lub obiektywnej rzeczywistości). Kościół w swojej „oficjalnej” filozofii nie zajmował się tymi zagadnieniami przesadnie, tym bardziej zaś w podręcznej apologetyce: trudno przecież dyskutować bez choćby bazowych aksjomatów. Tu można przytoczyć słowa S.H. Nasra:

Koniecznien trzeba tu dodać, że w istocie nie byłoby żadnych agnostyków wokół nas, gdyby dało się każdego nauczyć metafizyki. Nie można oczekiwać, że każdy bez wyjątku pojmie metafizykę – tak samo jak nie oczekuje się tego w odniesieniu do fizyki i matematyki. A jednak, co jest dość dziwne, podczas gdy człowiek współczesny przyjmuje na wiarę odkrycia fizyki i zarazem gotów jest podjąć odpowiednie studia, aby opanować przedmiot

<sup>3</sup> Religijnie zresztą hinduista, filozoficznie wedantysta, ale interpretujący wedantę w duchu filozofii platońskiej i tomistycznej.

<sup>4</sup> A.K. Coomaraswamy, *The Vedanta and the Western Tradition*, w: A.K. Coomaraswamy, *Metaphysics*, Bollingen Series, Princeton University Press, 1977. Podobne uwagi autor ów poczynił np. w pracy *On the Pertinence of Philosophy* (w: *The Essential: Ananda K. Coomaraswamy*, World Wisdom, 2004).

<sup>5</sup> S.H. Nasr, *The Need for a Sacred Science*, Curzon Press, 1993, Taylor & Francis e-Library, 2005, s. 6.

<sup>6</sup> Por. hinduistyczne określenie *Sat-Ātmananda*, które mówi dokładnie o istnieniu Boga, jego samoświadomości i jego doskonałości (czy też radości i samowystarczalności).

<sup>7</sup> „Monoteizm jest nieunikniony przy jakiegokolwiek prawdziwej koncepcji Boga. Najwyższe może być tylko jedno. Nie możemy posiadać dwóch najwyższych i nieograniczonych bytów. Wszędzie zadawano pytanie, czy dane bóstwo samo nie zostało stworzone przez innego boga. Bóstwo stworzone nie może w ogóle być bogiem” (S. Radhakrishnan, *Filozofia indyjska*, Vis-a-vis Etiuda, 2017, s. 105).

<sup>8</sup> Widać to nawet tam, gdzie mamy do czynienia nie z objawionym historycznie Bogiem, ale z pewnym „odkrytym”

przez intelekt pojęciem filozoficznym: autorzy buddyjscy nieraz opiewali doskonałość nirwany. Nawiasem mówiąc, ów kult lepiej lub gorzej rozpoznanego Boga bądź jego pośredników jest w gruncie rzeczy sposobem na zbliżenie się do tejże doskonałości. Jest on potrzebny nam, i to nawet sam w sobie (nie zaś na zasadzie wypraszenia doczesnych łask), a nie Bogu.

i samemu fizykę zrozumieć, to jednak – w przeciwieństwie do człowieka tradycyjnego – nie rozciąga owej wiary na owoce mądrości metafizycznej. Nie mając pragnienia poddania się odpowiedniej dyscyplinie i treningowi, co w tradycyjnej metafizyce, zresztą w kontraście do współczesnej nauki, oznacza również zadania moralne i duchowe, człowiek współczesny chciałby zrozumieć metafizykę natychmiast i bez żadnego przygotowania intelektualnego lub duchowego. Jeśli pojęcie przedmiotu metafizyki mu się nie udaje, to wówczas neguje samą możliwość poznania takiej wiedzy, która mogłaby rozwiązać antynomie i pozorne sprzeczności teodycei czy problemu zła<sup>5</sup>.

Tak czy inaczej, nasz „jogin na kamieniu” powinien (zdaniem Kościoła) dojść do pewnych elementarnych prawd: jak np. ta o istnieniu Absolutu (Boga), o jego niezmienności i doskonałości<sup>6</sup>, o jego jedyności<sup>7</sup>, o istnieniu pewnego „jądra” czy „centrum” duszy (ponad zmienną somą i psyche) – i do innych. Na tym etapie pojawić się powinno również przeświadczenie o tym, iż wskazane są próby zjednoczenia z owym Absolutem i przybliżenia się do niego w ten czy inny sposób. Wyrazem tego jest m.in. kult religijny, opiewanie owego ostatecznego Bytu<sup>8</sup>. Wówczas zadaniem naszego metafizyka (powinnością moralną chociażby) staje się odkrycie prawdziwej religii, autentycznej, najbardziej wiarygodnej. Nasz adept natrafia wtedy na chrześcijaństwo, a konkretniej: na rzymski katolicyzm. Wówczas powinien zapoznać się z wszelkimi argumentami, które katolicy przedstawiają jako dowody na prawdziwość swego wyznania. Podbudowę filozoficzną nasz metafizyk już ma. Teraz przechodzi do Biblii, świętych, cudów i postaci Chrystusa. Okazuje się – cały czas rekonstruujemy tu stanowisko Kościoła – że jeśli tylko zaangażować zdrowy rozsądek i dobrą wolę, to nie da się skutecznie zaprzeczyć dobrej apologetyce. Ewangelie są spójne, sensowne i wiarygodne, historia



Kościół, zwłaszcza wczesnego, obfituje w poszlaki świadczące o tym, że cieszył się on szczególną asystą Opatrzności. Cuda są niewytłumaczalne na gruncie czysto doczesnym i naukowym, nawet gdybyśmy przyjęli wiele dodatkowych założeń na temat domniemanych przyszłych możliwości nauki. Świadection Ewangelistów i Apostołów o Cieśli z Nazaretu jawi się jako propozycja nie do odrzucenia, a sam Cieśla – jako postać, której wyjątkowości nie da się w pełni wytłumaczyć na sposób naturalistyczny.

Oczywiście nie będziemy tu wchodzić w detale owej apologetyki, nie taki jest bowiem cel tego artykułu. To nie tekst apologetyczny, lecz raczej tekst na poziomie „meta”. To, co zarysowaliśmy w poprzednim akapicie, to jedynie ogólne punkty, które są następnie rozwijane i dyskutowane.

W rezultacie nasz „jogin” schodzi z kamienia i klęka przed Krzyżem, osiągnąwszy najpierw silne przekonanie, że „coś jest na rzeczy”, a następnie moralną<sup>9</sup> pewność, iż „ta nauka płynie właśnie od owego Absolutu”. Ten, którego istnienia wpierw się dowiodło abstrakcyjnie, został „konkretnie” poznany. Ale jeśli tak, to przyłgnięcie do Niego poprzez wiarę staje się skarbem, cennym klejnotem. W tej sytuacji niepodobna już tej wiary ponownie weryfikować. Można to określić jako logikę monotoniczną, tj. taką, w której poszerzenie zbioru przesłanek nie może nam zmienić wniosku wyprowadzonego z wyjściowego zbioru<sup>10</sup>. To tłumaczy ów paradoks, na który często natrafiamy w starszych dziełkach apologetycznych. Ich autorzy stawiają pytanie: „Skąd wiemy, że katolicyzm jest Prawdą?” lub też „Dlaczego powinniśmy przyłgnąć do katolicyzmu?”, po czym udzielają iście niefrasobliwej odpowiedzi: „Jakże to? Wszak został objawiony przez samego Boga, a Bóg człowieka nie wprowadza w błąd!”. Taka odpowiedź zbija z tropu, ale pamiętajmy, że kryje się za nią szerszy kontekst: apologeta zakłada, iż jesteśmy już na tym etapie, na którym mamy dość przesłanek przemawiających za tym, iż *faktycznie* katolicyzm pochodzi od Boga, jest nicią, przy pomocy której Ostateczna Rzeczywistość łączy się z poziomem Stworzenia.

Proces został zakończony (choć oczywiście poetycko moglibyśmy rzec, że dopiero teraz zaczyna się droga autentycznego życia wiarą). Metafizyk poznał Kościół. A tenże Kościół naucza – i metafizyk już w to wierzy – że rezultat tego procesu jest osiągalny dla każdego,

<sup>9</sup> Oczywiście, że nie „absolutną”: taką mógłby mieć tylko Absolut, z definicji zawierający w sobie *wszystko*.

<sup>10</sup> Na przykład klasyczny rachunek zdań jest monotoniczny w tym sensie; podobnie klasyczne logiki modalne (niektóre z nich nie są monotoniczne, ale w innym sensie), a także intuicjonizm czy logiki pośrednie (tu z kolei mówi się o monotoniczności wymuszania formuł w modelu, ale to też coś innego). Bada się oczywiście także logiki niemonotoniczne.

kto wykazuje minimum dobrej woli i zdrowego rozsądku tudzież posiada pewien elementarny poziom zdolności umysłowych.

To, że Kościół był gotów do dyskusji, że zbroił się do niej, nie oznacza oczywiście, że uważał ją za cel sam w sobie. Pewność co do prawdziwości własnych przekonań (ale przecież nie „własnych”, lecz po prostu *obiektywnych*) implikowała nieraz brak akceptacji np. dla propagowania błędu. Zresztą, dokładnie tak samo funkcjonuje każda inna „metanarracja”, jak pokazuje nam teoria i praktyka panującego liberalizmu chociażby. Zawsze dochodzi się do poziomu, na którym trzeba uznać, że pewne pryncypia są *oczywiste* – a kto tego nie akceptuje, ten musi zostać umiejscowiony poza nawiasem dyskursu.

Niezależnie zresztą od swej tolerancji czy akceptacji dla innych światopoglądów, Kościół uważał swoje roszczenia – zarówno te abstrakcyjne, na gruncie filozoficznym, jak i te bardzo praktyczne, na płaszczyźnie kształtowania społeczeństwa – za uzasadnione. Uzasadnione właśnie dlatego, że nauczanie Kościoła było postrzegane jako dobrze umocowane (w sensie opisanym powyżej). Tymczasem współczesność ogłosiła, że religia winna zostać, jak to napisał p. Szczerek z „Krytyki Politycznej”, „na stałe wypchnięta ze sfery decyzyjnej”<sup>11</sup>. Może być ona postrzegana w najlepszym razie jako „kulturowe kapcie Europy”, do których można mieć pewien sentyment, ale nie taki, który blokowałby ich wymianę na coś zupełnie nowego. Z perspektywy „oświeceniowego liberalnego lewicowca” religia jest w najlepszym razie nieprzekazywalnym, osobistym, subiektywnym doświadczeniem, prywatnym *hobby*, intymnym dodatkiem do ogólnej „metanarracji” liberalnej, która de facto musi być agnostyczna, a w praktyce: ateistyczna. Najpierw mówi się ludziom religijnym: „Nie możecie wysuwać roszczeń na gruncie publicznym, argumentując je z religii, ponieważ religia jest niekomunikowalna; jeśli już chcecie, to musicie znaleźć sobie podkładkę innego rodzaju, na przykład z uniwersalnych praw człowieka, praw natury czy odkryć nauki”. Później mówi się już wprost: „Nie możecie wysuwać roszczeń na gruncie publicznym, bo po prostu *nie macie racji*, bo wasze nauczanie jest sprzeczne z *oczywistym* dla wszystkich, *zrozumiałym* i *komunikowalnym* przekazem nauki i świeckiej etyki”. Zaiste liberał wchodzi tu w buty nieledwie inkwizycji.

<sup>11</sup> <https://www.krytykapolityczna.pl/felietony/ziemowit-szczerek/europa-islam-a-oswiecenie/>.

Tymczasem dla człowieka religijnego – w sensie „eliadowskim”, powiedzmy, a więc dla człowieka prenowoczesnego, a nie tylko „wierzącego” – takie postawienie sprawy jest co najmniej nieuczciwe. Poznanie prawd metafizycznych jest możliwe i wykonalne; odkrycie prawdy o właściwej religii – również<sup>12</sup>. W zasadzie nie ma nawet sensu kopanie rowu pomiędzy rozmaitymi sposobami postrzegania rzeczywistości: rzeczywistość jest jedna, a drogi do jej poznania i analizy – różne; w tym także oparte na metafizyce, symbolizmie czy wreszcie Objawieniu.

Wróćmy jednak do wspomnianego na początku dziełnego modernisty. Cały problem w tym, że za jego sprawą Kościół współczesny<sup>13</sup> pogodził się z tą defetystyczną linią. Swoich racji w społeczeństwie próbuje bronić albo na gruncie pozakonfesyjnym i wręcz pozareligijnym, albo w ogóle rezygnuje z ich obrony. Prawdą jest, że ani liberałów i masonów, ani socjalistów i komunistów nigdy specjalnie nie wzruszało to, iż dawni papieże głośno podkreślali, że nauczanie Kościoła jest ufundowane na rozumie i że nawet poddanie się wierze jest czymś rozsądnym; niemniej samym katolikom dawało to gwarancję pewnej uczciwości intelektualnej i zdrowo pojętej pewności siebie. Jedno i drugie zostało zatracone: w obrębie chrześcijaństwa człowiek religijny sam sobie odebrał prawo głosu, przyznając, że jego przekonania są co najwyżej subiektywną przyprawą emocjonalną, z którą akurat „czują się dobrze”. Osobną sprawą jest to, że w ten sposób zatracono też samo rozumienie religii i metafizyki w ich najgłębszym sensie. Jeśli religia przestaje być wyrazem autentycznej metafizyki, jeśli w takim razie przestaje być czymś gwarantującym stałość, jeżeli może ulegać zmianom w swej esencji, to wówczas przestaje być religią. Religia bowiem powinna scalać, spajać, łączyć (*religare*). W istocie ten aspekt spajania jest kluczowy dla wszystkich tradycyjnych wyznań: nigdzie nie widzimy tego tak jak np. w tzw. religiach „naturalnych” czy „pierwotnych”. Są one dziś hołubione (np. na Synodzie Amazońskim), ale w sposób zwodniczy: przypisuje się im cechy, które tak naprawdę zaczerpnięte są z *frameworku* świata postreligijnego, postoświeceniowego i zarazem postmodernistycznego. Próbuje się je interpretować w kategoriach ekologizmu, panteizmu, naturalizmu, synkretyzmu, a ostatecznie: wybujałego indywidualizmu i kultu ego, gdy tak naprawdę – przy

<sup>12</sup> Perennialistyczni autorzy, których tu cytowaliśmy, powiedzieliby zapewne o „prawdziwych religiach”. Cóż, akurat za to cenimy ich mniej...

<sup>13</sup> Na wszelki wypadek przypominamy tu o przypisie nr 1.

wszystkich swoich niewątpliwych błędach, niekiedy wręcz zwyrodnieniach – religie te są modelowym wręcz przykładem myślenia w kategoriach archaicznych, prenowoczesnych, w Europie moglibyśmy rzec (nieco na wyrost): średniowiecznych. Obrzędy Aborygenów australijskich przywołujące mityczny Czas Snu mogą w niektórych przypadkach budzić lęk człowieka wychowanego w obrębie cywilizacji łacińskiej – ale z katolickim rokiem liturgicznym i gotyckimi katedrami łączy je właśnie to, że oparte są na idei transcendencji oraz na mocnym przeświadczeniu, że jakaś forma Boskiego prawa przenika całą rzeczywistość: od somy po pneumę, od jednostki po społeczeństwo, od rozrywki po eschatologię. Każdemu gestowi, każdej aktywności odpowiada – mówiąc wulgarnie – przedstawienie odpowiedniej wajchy w świecie idei. Ten „esencjalizm” to właśnie coś, czego nie może znieść świat współczesny, a co bodaj Dawkins pogardliwie nazwał „trupią ręką Platona”. A jednak to właśnie jest religia: znacznie więcej niż mgliste, samodzielne poszukiwanie subiektywnego poczucia spełnienia, znacznie więcej niż indywidualna ścieżka koncyliacyjnej etyki, będącej li tylko podzbiorem metaetyki wywiedzionej z paradygmatu liberalnego.

To prawda, że owe tradycyjne religie, związane silnie z danymi strukturami społecznymi i wielopokoleniowym przekazem, na ogół nie zaprzętały sobie głowy racjonalnym dowodzeniem swych prawd: ale kiedy jabłko już zerwano, kiedy pojawiły się pytania i wątpliwości, wówczas przynajmniej w obrębie niektórych (to znaczy: w chrześcijaństwie, a po części również w islamie i hinduizmie) zaczęto budować gmach opisany w poprzednich akapitach niniejszego tekstu. Jeżeli się go dobrowolnie opuści, jeśli się go rozbierze albo jeśli po prostu uzna się go za domek z kart, wówczas życie przestaje być wpisaniem człowieka w Boskie formy<sup>14</sup> – staje się wędrówką, w której człowiek jest finalnie samotny: człowiek w ogóle i każdy konkretny człowiek ze swoim zmiennym, subiektywnym „poznawaniem”, a de facto „budowaniem” obrazu Boga czy też obrazu „czegoś”, z czym „czuje się dobrze” albo w czym „się realizuje”. Można to oczywiście nadal nazywać religią, wiarą czy katolicyzmem, ale kto tak robi, ten uprawia jedynie żonglerkę słowną, a faktycznej religii wyrządza tytułową niedźwiedzią przysługę. ■

<sup>14</sup> W Me, Maat, Rytę, Dharmę, Altjeringę, Tao, Ordo, Arche – by użyć bliskoznacznych, choć nie tożsamyh ze sobą, słów z różnych kultur i tradycji.